

## Wstęp

---

*Byłem analfabetą, jeżeli chodzi o wiarę, analfabetą,  
jeżeli chodzi o miłość, dawałem ludziom tylko nadzieję.*

---

Księdza profesora Józefa Tischnera poznałam w lutym 1993 roku. Pamiętam dobrze pierwsze z nim spotkanie. Kraków, hotel dla księży przy ulicy św. Marka. Na elektrycznej maszynie gotował płatki owsiane.

– Proszę usiąść, tylko się posilę i zaraz zaczniemy rozmawiać.

Rozejrzałam się po skromnym pomieszczeniu. Na stole maszyna do pisania, wszędzie stopy książek... Usiadłam w fotelu z lat pięćdziesiątych i aby nie wpaść do dziury, mocno podtrzymałam się na oparciach. „Oto – pomyślałam – duchowny, jakiego szukam”. Przyjechałam do niego z zaproszeniem do „Persony” – programu autorytetów, osobistości i osobowości emitowanego przez ośrodek TVP w Katowicach.

– Nie jestem ani personą, ani osobistością, no może, osobowością, ale dla wielu kontrowersyjną, zdaje sobie pani chyba z tego sprawę? – powiedział Tischner, bacznie, ale życzliwie na mnie spoglądając.

To ja miałam zadawać pytania, ale role szybko się odwróciły. Nie była to rozmowa, ale raczej spowiedź. Mąż protestant, w dniu ślubu nie dostałam rozgrzeszenia. „Nie rzuca się pereł między wieprze” – zawyrokował ksiądz w Cieszynie. Mimo że córka przystąpiła do pierwszej komunii, była bierzmowana i uczęszczała do oazy, nie otrzymała świadectwa ukończenia religii, bo ksiądz katecheta powiedział, że ma ojca heretyka.

– Tematem rozmowy będzie kapralstwo w Kościele – zdecydował ksiądz profesor. Właśnie podczas tego nagrania padły sformułowania, które poruszyły opinię publiczną:

– Nie spotkałem nikogo, kto stracił wiarę po przeczytaniu Marksa, Lenina, Nietschego, natomiast na kopy można liczyć tych, którzy ją stracili po spotkaniu z własnym proboszczem.

Na Tischnera posypały się gromy. Replikował potem na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Do kazusu córki dorzucił przykład pierwszoklasisty Jasia. Kiedy umarł mu ojciec, ksiądz katecheta objaśniał dzieciom, że jest to kara boska za to, że nie uczęszczał na lekcje religii.

– Skoro tyłu ludzi chciało naprawiać ten świat i nic z tego nie wyszło – mówił w katowickim studiu Tischner – to ja nie będę usiłował go reperować, tylko relacjonować. I jeśli opiszę kapralstwo zachowań w Kościele, to spełnię swój obowiązek.

Minął rok i znów zastukałam do furty przy ulicy św. Marka.

– Nie ma już tu księdza Tischnera, niech pani go szuka na Kanoniczej – i zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem.

Pod nowym adresem księdza zastałam tylko złożone w kącie rzeczy. Zostawiłam więc swój telefon i wróciłam do siebie. Wkrótce zadzwonił Tischner. Przedstawiłam pomysł. Inny system władzy, inna gospodarka, inny język komunikacji społecznej. Pomiędzy światem totalnego zniewolenia a światem wolności otworzyła się przepaść. Ludzie nie rozumieją przemian, nie potrafią się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Trzeba do nich mówić, objaśniać, pocieszać.

– Zgoda, ale jestem człowiekiem dialogu – powiedział Tischner. – Nie umiem mówić do kamery, interesuje mnie rozmowa, i to właśnie z panią.

I tak powstał cykl *Rozmów z ks. prof. Józefem Tischnerem*<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Autorski program ukazujący się na antenie TVP Katowice w latach 1994–1998.

W pierwszym programie wyznaczaliśmy sobie tropy, którymi zamierzaliśmy pójść. Tischner powiedział wtedy:

– Gdyby, pani Ewo, udało nam się w naszych rozmowach znaleźć taki ton, w którym wypowiedane byłyby sprawy istotne, to mam nadzieję, że ludzie by nas zaakceptowali. Nie tyle nas, ile te istotne sprawy, które w nas tkwią.

Ksiądz profesor przyjeżdżał do katowickiego studia raz w miesiącu, nagrywając cztery piętnastominutowe odcinki. Jowialnie, z szerokim uśmiechem, witał się ze wszystkimi.

– Witajcie – mówił. Mocny uścisk ręki ugiął mi kolana, co profesora nieustannie bawiło. Siadaliśmy w bufecie, gość dostawał kawę i ulubionego pączka, a ja przedstawiałam przygotowane tematy rozmów. Nie zdarzyło się, aby któryś zakwestionował. Zgodził się nawet na rozmowę na temat potępionego przez Kościół filmu *Ksiądz*, choć byłam wtedy niemal pewna, że tym razem przeholowałam.

Żałuję ogromnie, że właśnie te stolikowe rozmowy nie były rejestrowane. W studiu wiele rzeczy uciekało, brak było świeżości pierwszej wymiany zdań. Tyle razy obiecywaliśmy sobie z realizatorem, że w czasie przerw pomiędzy nagrańmi nie wyłączymy kamer i zarejestrujemy Tischnera rozluźnionego, opowiadającego kawały. Niestety, nigdy to się nie udało. Zmiana taśmy, chwila przerwy dla kamerzystów, odsuwały w czasie nasze trochę podstępne zamiary. Kiedyś nie mogła wystartować maszyna rejestrująca. Realizator Andrzej Prynda sumitował się i przeproszał gościa.

– Nic nie szkodzi – uśmiechał się Tischner. – Ja sobie po prostu siedzę i myślę.

– A o czym? – zapytałam.

– Myślę o tym, co by było, gdyby w Czarnym Stawie zamiast wody było piwo.

Kochaliśmy wszyscy księdza Tischnera za tę jego prostotę i autentyczność.

Pewnego razu Tischner zdjął wierzchnie okrycie i z zawstydzoną miną oświadczył, że zapomniał marynarki, a przecież mieliśmy nagrywać program na święta Bożego Narodzenia. Trzeba było księdza jakoś przyodziać. W sukurs przyszedł pianista Michał Banasik<sup>2</sup> o podobnej do księdza posturze. Jego marynarka pasowała jak ulał na naszego gościa. Za miesiąc Tischner przyjechał w nowym, grafitowym, dobrze skrojonym garniturze. Nie szczędziłam pochwał, że wygląda wspaniale.

Ksiądz profesor miał dar mówienia wieloma językami. Innym mówił do dzieci, innym do ludzi na Podhalu, innym do robotników, innym wykładał na uniwersytetach w Paryżu, Wiedniu, Krakowie, Castel Gandolfo. Gdy zadałam niezręczne pytanie, zaczynał używać terminologii i wyrażeń filozoficznych, zupełnie dla mnie niezrozumiałych. To był jego sposób na przywołanie dziennikarza do porządku. Przyznawałam wtedy: „Wpuścił mnie ksiądz w maliny”, a on odpowiadał: „A już się pani wydawało, że jestem w narożniku”.

Z perspektywy czasu zadaję sobie pytanie, czy umiałam z nim rozmawiać. Ze wstydem wyznaję, że nie. Przygotowując się starannie do rozmów, wiele czytałam, starałam się błysnąć wiedzą, elokwencją. Rozogniona rzeczywistością, niezgodą na polską obyczajowość religijną, fałsz w przeżywaniu wiary, często wyładowywałam emocje i wątpliwości w czasie rozmowy z Tischnerem. Dziś wiem, że był to błąd. Przeglądając archiwalne taśmy, słyszę za dużo swojej gadaniny, a za mało głosu profesora. Głosu jakże pięknego, ze świetną dykcją. Ważył słowa, ale niezwykle odważnie i celnie formułował myśli. W jego wypowiedziach nie było scholastyki i jakże charakterystycznej dla księży emfazy.

---

<sup>2</sup> Michał Banasik (1941–2010) – pianista i improwizator, wirtuoz organów, twórca muzyki filmowej i rozrywkowej.

Poza tym wiedział wszystko. Można powiedzieć, że nic, co ludzkie, nie było mu obce.

Utkwiło mi w pamięci takie zdanie: „Oszałała z miłości kobieta gotowa jest dla mężczyzny porzucić nawet dziecko”. Zastanawiałam się, skąd o tym wie. Mówił o samotności w obliczu śmierci, tak jakby już przez to przechodził, opowiadał o bólach rodzącej kobiety, o miłości i wychowaniu dziecka, jakby sam tego doświadczył. Nieustająco wprawiał mnie w zdumienie – filozof, człowiek nauki, duchowny żyjący w hermetycznym wydawałoby się świecie.

Ogromną wagę przywiązywał do słowa, ale gdy wyczerpywały się argumenty, mówił wprost: „Tu już żadne argumenty nie pomogą, pora wyciągnąć ciupagę”. Cenił rozum, trafne myślenie, dobre pytanie. Natychmiast się ożywiał, potrafił okazać aprobatę. „To jest dobre – mówił – to jest dobre”. A po skończonym nagraniu pytał: „No i co?”

Często kręciłam nosem, że można by bardziej nazywać rzeczy po imieniu. Rozproszona akcją w studiu nie zawsze w czasie nagrania nadążałam za logiką wyводу. Właściwa ocena następowała dopiero przy przeglądzie materiału. Mój Boże, stwierdzałam, ależ on to powiedział, tak formułuje myśli tylko Tischner. Ileż się zmarnowało nagranych materiału!, gdy czas *Rozmów* stał się zależny od czasu reklamy. Raz nagranie mogło mieć 13, innym razem tylko 12 minut. Cięłam nagranie „po oczach”, bo wejście na czas reklamy pociągało za sobą poważne konsekwencje. Z powodu nieustającego niedostatku taśm kasowałam nagrania wyjściowe. To były często niepowetowane straty.

Po dwóch latach ksiądz profesor zaproponował zaniechanie cyklu. Nie miałam wtedy dobrego okresu w pracy. W katowickim ośrodku TVP źle się działo, byłam skonfliktowana z dyrektorem naczelnym. Powiedziałam księdzu, że jest moją ostatnią tarczą, jeżeli zabraknie mi jego ochrony, w każdej chwili grozi mi zwolnienie. Tischner wspaniałomyślnie zadeklarował: „Będę przyjeżdżał, dopóki będę pani potrzebny”.

Takie są kulisy 200 nagranych rozmów, czteroletnich wojaży Tischnera do Katowic. Przyjeżdżał w upał, deszcz, śnieżycę i zamiecie. Nigdy nie zawiódł, niezależnie, czy jechał z Paryża, Wiednia, Krakowa lub Łopusznej. Czasem ucinął sobie drzemkę na przydrożnym parkingu, czasem przekraczał dozwoloną prędkość, policjanci poznawali, kto zacz, i mógł jechać dalej. Zdarzyło się, że tankował benzynę, nie mając pieniędzy. Folgowano księdzu, bo wiadano, że odda w drodze powrotnej.

To, że spotkałam księdza profesora Tischnera na drodze swego życia i zawodowej pracy, uważam za niezwykle zrządzenie losu. Był dla mnie największym darem i autorytetem. Tak jak w każdym bliźnim, tak i we mnie potrafił odnaleźć i rozbudzić to, co najlepsze. Nazywał mnie bezwyznaniowym chrześcijaninem i zapowiedział protekcję w Niebie. A będzie to tak, mówił:

– Święty Piotr zapyta „Czy ją wpuścić?“, a ja powiem „Otwórz bramy Niebios”. Zagra orkiestra góralska. Jontek poprowadzi panią do tańca, a Matka Boska będzie biła brawo.

Podczas ostatnich nagrań, w sierpniu i wrześniu 1997 roku, zauważyliśmy niedyspozycję głosową. „Przesiliłem struny na wykładach w Paryżu” – usprawiedliwiał się ksiądz profesor, potem narzekał, że nie odstępuje go angina, zażywa antybiotyki. Nagrania trzeba było przerywać i powtarzać kwestie. Kolega z realizatorki poił księdza herbatą ze swojego termosu. Przelykał ciepły napój i mówił: „Dobra, gramy dalej”. W ostatnim programie wypowiedział zdanie, które można uznać za kredo duszpasterstwa księdza Józefa Tischnera „Byłem analfabetą, jeżeli chodzi o wiarę,

analfabetą, jeżeli chodzi o miłość, dawałem ludziom tylko nadzieję”.

Z końcem września zadzwonił profesor Marian Tischner z porażającą wiadomością. „Brat jest w szpitalu, będzie operowany, proszę już z nim nie planować żadnych nagrań”. Odwiedziłam księdza profesora w szpitalu w Nowej Hucie. Po operacji był odżywiany przez sondę. Żartował: „Jestem końcówką rurociągu przyjaźni”. Latem przyjechałam do Krakowa na Kanoniczą z projektem okładki do taśmy ze zbiorem jego myśli na temat Kościoła, wiary i religii. Wkrótce przysłał mi pełnomocnictwo, zgodę na wyłączne dysponowanie katowickimi nagraniami. Zaskoczył mnie przezornością i jakby pożegnalnym gestem.

Ostatni raz widziałam księdza Tischnera w krakowskiej PWST, która na jego cześć urządziła spektakl i dyskusję wokół filozoficznych interpretacji Hioba i braci Karamazow. Zaproszeni goście tłoczyli się przy szatni i wejściu na widownię, pośrodku westybulu zobaczyłam Tischnera. Zmieniony chorobą stał nierozpoznany przez nikogo. Podbiegłam do niego. Nie wydawał już żadnego głosu, gestami pokazywał, że cieszy się ze spotkania. Potem nastawały już coraz gorsze miesiące. Bardzo cierpiał.

Z relacji jego bratowej Barbary wiem, że gdy we wrześniu 1999 przyznano mu Order Orła Białego, stan był krytyczny. W listopadzie pani Barbara Tischnerowa zadzwoniła do mnie z lepszą wiadomością: „Przyszłam dzisiaj do Józia, siedział w pokoju i czytał gazetę, może będzie lepiej”. Wielokrotnie próbowałam pisać do księdza profesora. Okazją były kolejne święta, Nowy Rok. Ale jakie formułki są stosowne w przypadku śmiertelnie chorego człowieka? Wesołych Świąt, Szczęśliwego Nowego Roku? Wszystko lądowało w koszu.

Przeglądam książkowe publikacje Tischnera, niektóre z dedykacjami. Rok 1995, *Między panem a plebanem*: „Pani Ewelinie od plebana z życzeniami, by została wójtem”. Rok 1997, *W krainie schorowanej wyobraźni*: „Pani Ewelinie z wdzięcznością za ruszanie mojej głowy. Serdeczne szczęście Boże”. Marzec 1999, *Spór o istnienie człowieka*: „Na wspomnienie wspaniałych czasów. Moc serdeczności, ks. Józef Tischner”.

Ewelina Puczek, marzec 2020



## O potrzebie dialogu

---

*Mowa dochodzi do swojej doskonałości wtedy, kiedy pozwolimy, żeby przez tę mowę wypowiedane były sprawy istotne.*

---

**Ewelina Puczek:** Umówiliśmy się na cykl rozmów. Niepokoi mnie jednak to, jak zostaniemy przyjęci przez widzów. W epoce zalewu informacji, kiedy każdy może wypowiedzieć się na przeróżne tematy, wytworzyliśmy sobie, każdy na swój sposób, reakcje obronne przed słowem mówionym i pisany. Straciły już one swoją siłę, a co gorsza – swoje znaczenie. Jak ksiądz profesor myśli, czy jeszcze możemy zostać wysłuchani?

**Ksiądz Józef Tischner:** Dwa problemy są tu istotne. Pierwsza sprawa dotyczy tego, kto mówi, czy widzowie zaakceptują nas jako mówiące postacie. W ostatecznym rozrachunku temu, co się mówi, zasadnicze znaczenie nadaje osoba, która mówi. Drugi problem to sprawa języka. Kiedyś Martin Heidegger<sup>3</sup>, wybitny współczesny filozof, zastanawiał się nad tym, co to jest mowa, co jest jej istotą. Uważa on, że: „istotą mowy jest mowa istoty”. Innymi słowy, mowa dochodzi do swojej doskonałości wtedy, kiedy pozwolimy, żeby przez tę mowę wypowiedane były sprawy istotne. Gdyby udało nam się w naszych rozmowach znaleźć taki ton, w którym wypowiedane byłyby sprawy istotne, to mam nadzieję, że ludzie by zaakceptowali nie tyle nas, ile te istotne sprawy, którymi się zajmujemy.

---

<sup>3</sup> Martin Heidegger (1889–1976) – niemiecki filozof, uznawany za jednego z najważniejszych w XX wieku. Jego główna koncepcja kładła nacisk na badanie bycia zamiast wyłącznie bytu.

**– Na przestrzeni wieków znane autorytety wypowiadały się na temat istotnych spraw, ale było wiele tych istotnych spraw, które znane autorytety wypowiadały pod adresem sobie współczesnych i nie zostały wysłuchane.**

Ludzie nie znoszą przeciwnego zdania. Nie jest wykluczone, że ulegamy pewnym nastrojom i kiedy człowiek podda się ich wpływowi, to oczywiście wydaje mu się, że wszystko jest w porządku, bo to jest tak, jakby nastroił się tańcem do muzyki. Ale kiedy zakwestionuje się tę muzykę, ten taniec, to wtedy ludzi ogarnia gorączka. Myślę, że obecnie w Polsce mamy do czynienia z kwestionowaniem tańca. Może jest to nawet taniec Chochoła, jak z *Wesela* Wyspiańskiego. Nagle ktoś chce kogoś przebudzić i... zaczynają się awantury.

### **Które nieustannie wybuchają...**

I nic nie wskazuje na to, aby się miały skończyć. Dlatego myślę, że w tej całej awanturze lepiej nie stawać po żadnej stronie, ale zakwestionować wszystkich, którzy te awantury wszczynają. Filozofowie radzą, idąc za wskazówkami Kartezjusza<sup>4</sup>, że w sytuacji takiego intelektualnego trzęsienia ziemi należy zacząć od wątpienia i poprzez wątpienie dojść do jakiejś kluczowej pewności, do jakiejś podstawy i jakby zacząć wszystko od nowa. I tu natrafiam na problem. Rzeczywiście, jak nazwać stan dzisiejszej polskiej nerwowości, postkomunistycznej neurozy? Gdy zabrakło wielkiego przeciwnika, z którym trzeba się wciąż mierzyć...

---

<sup>4</sup> René Descartes (1596–1650) – francuski filozof, fizyk i matematyk, uważany za ojca filozofii nowożytnej.

Antoni Kępiński<sup>5</sup> powiedział, że człowiek dojrzewa, gdy podąża drogą heroiczną. Ale tą drogą można podążać w sytuacji zagrożenia, kiedy sytuacja jest graniczna. Kiedy jej nie ma, to ten wymiar heroiczny staje się groteską, farsą. Nie wiem, czy sytuacja dzisiejsza nie ma czegoś z farsy. Te rozmaite spory, kłótnie, te burze w szklance wody, sprowadzające się do wyboru „albo – albo”, skupianie się na szczegółach, podczas gdy spór o sprawy istotne jakby w ogóle się jeszcze nie zaczął.

### **I to jest klęska...**

Ja bym to nazwał porażką, czyli niby jest klęską, niby nią nie jest. Porażka to jest zgubienie złotego rogu. A co to właściwie jest? Nie było wroga, nie było niczego, był jakiś sen. Zgubiono złoty róg... Niby nic... Polonizujemy trochę tę sytuację, ale w istocie rzeczy, kto wie, czy cała Europa nie jest trochę w tym kręgu zamknięta.

**W naszej rozmowie nadchodzi moment zastanowienia się nad tym, o czym będziemy rozmawiać. Czy o wyzwaniach, które nas czekają? Czy o problemach, które sprawiają nam kłopot z istnieniem?<sup>6</sup> Choć brzmi to nieco dramatycznie...**

...„pełna problemów, niepokoju, z zegarkiem wielka kupa gnoju”<sup>7</sup>... To nie ja, to Gałczyński. Ale poważnie... Wszyscy

<sup>5</sup> Antoni Kępiński (1918–1972) – psychiatra, naukowiec, humanista i filozof.

<sup>6</sup> Aluzja do dziennika filozoficznego Henryka Elzenberga *Kłopoty z istnieniem*.

<sup>7</sup> K.I. Gałczyński, *Poezje*, t. 1, Czytelnik, Warszawa 1957, s. 536 (Gałczyński, *Dzieła w pięciu tomach*, kom. red. Z. Fedeki, N. Gałczyńska, J. Putrament i in., t. 1); fragment wiersza Gałczyńskiego: *Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich* (Paryż, styczeń 1946).

mamy w sobie coś takiego, że gdy to „coś” spotkamy, to opuszcza nas święta równowaga, nie możemy nad sobą zapanować albo stajemy wobec tego zjawiska bezradni. Że też „coś” takiego mogło się zdarzyć! Ja takich przypadków miałem dość dużo. I teraz, kiedy patrzę na te moje poirytowania, mimo wrodzonego spokoju, to dochodzę do wniosku, że nie rozumiem, jak można się nie móc porozumieć. Ja trochę jako ten filozof, wierzący w rozum, w rację, w racjonalność, w to, że po pewnym czasie można dojść do tego, że dwa dodać dwa jest cztery, nie rozumiem, jak można nie potrafić się porozumieć. I to jest mój problem, także filozoficzny. To mnie wytrąca ze spokoju ducha... Wtedy się wycofuję, szukam słów... Ale w gruncie rzeczy nie znajduję. Wtedy myślę słowami Ewangelii: „Pozwólcie rosnąć aż do czasu żniwa”<sup>8</sup>. Do wszystkiego trzeba zatem dojrzeć.

### **Kłopoty z porozumieniem wynikają być może z poczucia zagrożeń. Czego się dziś obawiamy?**

No właśnie. Nie ma Oświęcimia, nie ma Gułagu. Czego się boimy, co nam grozi? Lęk to jest dobry trop. Oczywiście jeżeli istota problemu gdzie indziej nas nie poprowadzi.

---

<sup>8</sup> Niedokładny cytat Ewangelii wg św. Mateusza (Mt 13, 30). Cytaty były porównywane z Biblią Tysiąclecia.

CZŁOWIEK





## Czego się boimy?

---

*Aby zaistnieć na tym bożym świecie, potrzebne jest męstwo.  
W tym męstwie człowiek się uczyłowicza.*

---

**W klasycznej triadzie lęków o duszę, ciało i byt – zdaniem socjologów – człowiek najbardziej przeżywa trzeci. Jak ksiądz profesor sądzi, dlaczego tak się dzieje?**

Taka jest generalna teza, że im kto jest bardziej myślący i inteligentny, ten ma w sobie więcej lęków. Ludzie pozbawieni inteligencji są wolni od lęków. Jest jeszcze inna teza, że najbardziej inteligentni mają w sobie odwagę bycia, męstwo bycia. W ogóle żeby zaistnieć na tym bożym świecie, potrzebne jest męstwo. Najpierw ze strony rodziców, a potem człowieka. Małe męstwo przed pójściem do szkoły, większe przed maturą, ogromne przed małżeństwem czy pójściem na księdza. I w tym męstwie człowiek się uczyłowicza.

Ja się teraz zwierzę ze swoich lęków. Z góry powiem, że mój lęk wiąże się z moim polem obserwacji, bo ja, tkwiąc jakby w środku religii, widzę przede wszystkim demony, które w niej siedzą. Każda wiara, każda nadzieja, każda miłość i każdy człowiek ma swojego szczególnego demona, z którym musi w jakimś sensie wojować. Widzę w dzisiejszej polskiej religijności bardzo wiele takich małych demonów. Nie są to demony Wielkiej Rewolucji Francuskiej, demony prześladowań religijnych, demony wojny. Są to raczej demony, które stwarzają miliony nieporozumień, niezdolność do nawiązania dialogu.

Kiedy wchodziliśmy w komunizm, a potem go przeżywaliśmy, Kościół nam towarzyszył wielką nowenną, i ta